

piękne, żebym ja się miała uganiać za jakimiś badykami... Nie! Dziękuję... Jestem na to zbyt wygodnicka i za mało sielankowa... Powiem ogrodnikowi słowo, a przyniesie mi najpiękniejszych kwiatów...

— To ty i wsi nie lubisz?...

— To zależy... Jeżeli jest wygodne mieszkanie, ładny ogród, miłe towarzystwo — to dlaczegożby nie?...

— A ja znowu, chociaż jestem urodzona i wychowana w mieście, szalenie lubię gonić po tych, jak je nazywasz „wertepach“...

— Bo ty jesteś coś innego. Ty masz w sobie coś z dzikiego kwiatu, który na swobodzie tylko rozwija się i kwitnie... Ja jestem cieplarniana roślina, a może już taka trochę zasuszona, z zielnika...

— Bo ci się nie chce rozruszać...

— Nie chce mi się — o to właśnie chodzi.

Na tem skończyła się rozmowa. Józia zrobiła w cichości serca spostrzeżenie, że Loli przydałoby się bardzo, gdyby opaliła się trochę i nabrała zdrowszej cery.

Zachowała jednak tę uwagę dla siebie i ostatecznie poszła za miasto sama, podczas, gdy panna Żarnicka pospuszczała u okien stopy i ułożyła się wygodnie na sofie z powieścią w ręku.

Józia zaś wybiegała się dowoli, nazrywała kwiatów, zgrzała się, spociła, rozczzerwieniła — wcale nie jak poważna mężatka, lecz raczej jak niedorośła, swawolna dziewczynka, wypuszczona na wakacyjną swobodę.

Nie zważała na to, że jej kapelusz zjechał nieco „na bakier“, że jakaś gałąź rozdarła w jednym miejscu cienki batyst bluzki, że w pogoni za niezapominajkami po mokrej łące zrosiła się spódnica dołem i zwilżyły się buciki.

Było jej tak dobrze, lekko i wesoło, jak już oddawna nie bywało.

Jakże się smucić, jakże martwić, kiedy słońce świeci tak jasno, tak mocno grzeje, kiedy wszystko wokół zieleni się i kwitnie.

Wprawdzie spotykani przy polnych robotach ludzie mieli jakieś zafrasowane miny i coś tam gwarzyli, że zasiewy spóźnione, a teraz deszczu niema, susza się zapowiada — więc kto wie, jak będzie — czy urośnie?...

Ale te obawy nie trafiały Józii do przekonania. Zaczynała z tą lub ową srośkaną wiejską kobietą rozmowę i zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze, wojna się skończy, zboża pięknie urosną.

— Dałby też Pan Bóg, żeby słowa panienki były prawdziwe... — odpowiadała jej.

— Ja już nie jestem panienka tylko mężatka — odpowiadała z dumą Józia, błyskając w słońcu swoim złotym, ślubnym pierścieniem.

— Już wydana?! Popatrzcie się, moi ludzie! Taka młódka! A gdzie mąż...

— Przy wojsku...

— Tak... tak... Wszyscy oni teraz przy wojsku.

Józia mówiła: „Szczęść Boże“ albo „zostańcie z Bogiem“ i szła znowu przed siebie, jakąś ścieżyną, wijącą się wśród pól.

Snula ciche, szczęsne marzenia o tem, jak to wojna się skończy, Konrad powróci, a wtedy będą sobie we dwójkę chodzili tak daleko, daleko... — przedewszystkiem jak najdalej od mamy Żarnickiej.

— Tylko czy on lubi takie łązgi? Może tak, jak Lola... Tak... tak... przypominam sobie, że on raczej woli iść do kawiarni, albo do kina, niż na daleki spacer... Ale to nie szkodzi... Ja także lubię kawiarnie, choć rzadko chodziłam...

O powrocie pomyślała dopiero wtedy, kiedy powietrze już się ochłodziło i słońce wyraźnie poczęło się zniżać ku zachodowi.

— Ano! Trzeba wracać do... więzienia!

Przyspieszyła kroku, żeby jeszcze przed zupełnym zmierzchem dostać się do domu i wkrótce znalazła się pośród pierwszych przedmiejskich domków Łykowa.

„...A dziewczyna, jak malina,
Niesie koszyk róż.
Stój, poczekaj, moja duszko,
Skąd tak drobną śląpasz nóżką,
Jam z tej chałki,
Rwałam kwiatki
I powracam już“ —

zanucił ktoś nagle dość dźwięcznym tenorem nad samem prawie uchem Józii.

Drgnęła i obejrzała się.

Tuż koło niej szło dwóch młodych, elegancko ubranych mężczyzn.

Jeden z nich, różowy, pulchny szatynek, który

wydawał się młodszy od swego towarzysza, miał niebieskie, śmiejące oczy, łobuzerską minę i po angielsku przyszyty wąsik nad bardzo czerwonymi, zanadto pełnymi wargami.

On to właśnie zaśpiewał piosenkę o dziewczynie „jak malina“ i usiłował teraz zajrzeć Józii w oczy z zuchwałem przymileniem.

Towarzysz nie brał udziału w zaczepce. I on spoglądał na piękne zjawisko z kwiatami — ale z boku — dyskretnie.

Panamski kapelusz trzymał w ręku, pozwalając, żeby wiatr swobodnie rozwiewał jego bujne, ciemno-blond włosy, starannie, ale bynajmniej nie z fryzjerską elegancją zaczesane, na wydłużonej, rasowej czaszce.

Twarz miał nie banalną, z ciekawie sklepieniem czołeni, z pięknie rzeźbionym nosem — wytworną linią ust, okoloną ciemno-złotym zarostem.

Miał pewnie nie więcej, jak lat trzydzieści, ale można go było wziąć za starszego, bo do ładnej, prawie, że pięknej jego twarzy przywarł wyraz jakiegoś zmęczenia, nudy, czy niezadowolenia, ujawniający się w niedbalem zagięciu kątów ust i pogardliwym trochę spojrzeniu szaro-zielonych oczu, przymrużonych lekko, jak u krótkowidza.

— Spójrz, Julku — zawołał różowy szatyn — czyśmy przeczuwali, że ta nędzna dziura, Łyków, takie kryje piękności!... Gdybyś jeszcze ta śliczna panienka pozwoliła się odprowadzić, to doprawdy jestem gotów pokochać to miasto!

Józia uśmiechnęła się leciutko. Nawykła oddawna do zaczepki ulicznych — nie czuła się niemi obrażoną.

Lubiła nawet, jeżeli się ktoś za nią „włóczył“, a ona go mogła „odpalić“. I teraz cisnęła się jej na usta cięta, dowcipna odpowiedź, ale w porę przypomniała sobie swoją godność mężatki, zachmurzyła się, zsunęła brwi, wydeła wargi i zaczęła iść jeszcze prędzej.

Chciała zamanewrować tak ręką, aby natręt zobaczył jej ślubną obrączkę, ale ciężka wiązanka kwiatów utrudniała jej to.

„Nie uciekaj, dziewczę lubie,
Moje sto tysięcy“ —

zaśpiewał znowu szatyn — również przyspieszając kroku.

Rozpoczął się formalny pościg. Józia biegła już prawie, szatyn podążał za nią. Ten i ów przechodzień oglądał się ciekawie.

Młoda kobietę przestała bawić ta zaczepka, a robiło się jej coraz bardziej nieswojo.

Nagle mężczyzna, nazwany Julkiem, pociągnął towarzysza za ramię.

— Przestań, Władek — powiedział dość ostro.

— Ależ, Julku, co ty...

— Przestań, mówię ci — przytrzymał szatyna, dopóki Józia nie zniknęła na zakęcie ulicy.

— Czyś ty oszalał, Julku!... O co ci chodzi — zawołał Władek. — Odkąd to stałeś się takim moralistą, obrońcą zaczepianych panienek...

— Mój kochany, to już przestawało być dowcipne, a zaczynało być niesmaczne...

— Niesmaczne, dlaczego? — zdziwił się szatyn. — Taka śliczna dziewczyna... A może uważałeś, że nie jest dość ładna?...

— Jest za piękna, żeby ją tak głupio zaczepiać!...

— Za piękna, żeby ją zaczepiać?! A jakież mam zaczepiać: brzydkie?! Daruj, ale to chyba za mądre dla mnie, ja tego nie rozumiem...

— Nie sił się więc na próżno na zrozumienie... i na przyszłość lepiej daj spokój takim dzieciom!...

— Dzieciom?! Ładne mi dziecko!... No pewnie, że nie matrona, ale dziecko!... Jakie dyabliki w oczach, że aż!... I co za figurka — zauważyłeś?...

— Nie nudź-że mnie — odpowiedział niechętnie towarzysz.

— Ojej! Jakaś ty scnotliwiak!... Moznaby cię posadzić o matrymonialne zamiary. Przyszko-dziłeś mi dzisiaj, ale ja się już poznam z tą ślicznotką...

— Prędzej możesz się poznać z kijem ojca, albo z warząchwą matki!...

— Nie bój się!... Ja jestem stary praktyk, potrafię i w Łykowie zawierać znajomości... Ale, *à propos* znajomości... Będziesz tu składał jakie wizyty, Julku?

— Odwiedzę Żarnickich, bo to moi znajomi z Zakopanego.

— Żarniccy!... Poczekajno!... Aha! Już sobie przypominam... Imponująca mama — nie chciałbym jej mieć za teściową — z anemiczną, mało-

mówną córeczką i brat, wcale miły, wesoły chłopak...

— Właśnie ci sami.

— Coś tam wtedy bardzo kręciłeś się koło tej panny Żarnickiej... Mówiono nawet, że stąrasz się o nią... Czy to prawda?

— Nie. Toż to był nieledwie podłotek jeszcze.

— No, to ostatecznie nic nie szkodzi. A podobala ci się?

— Ciekawa dziewczyna — odpowiedział Julian niedbale, strącając końcem łaski drobne kamyczki do ścieku — mówiła mało, ale odzywała się zawsze do rzeczy...

— I to cię tak zachwyciło... Jabyś powiedział, że ona jest za... Ale dajmy temu spokój, bo byś się jeszcze obraził. Więc ta znajomość zakopiańska odnowi się... No, no — jeszcze i to zdarzyć się może, że piękny Julek Łuniewski, pożeracz serc niewieścich, utraci wolność swą i swobodę dla łykowskiej panny z kamienicą... Bo, zdaje mi się, że ona ma kamienicę?

— Nigdy nie byłem pożeraczem serc kobiecych. Zostawiam to głupszym.

— Niech i tak będzie. A kiedy wybierasz się do tych Żarnickich.

— W najbliższych dniach — może pojutrze, lub nawet jutro.

Zmierzchało się już zupełnie, kiedy weszli w ulicę, graniczącą z rynkiem łykowskim.

— Wiesz co, Julku, jest tu jakaś knajpa — nawet, zdaje się, dosyć przyzwoita, jak na Łyków. Możebyśmy przeplukali gardła szklanką piwa.

— Owszem, chodźmy.

Zniknęli za jasno oświetlonymi drzwiami restauracji.

— Bójże się Boga, Józio — szepnęła Lola, otwierając drzwi bratowej — jak ty wyglądasz! Ładnieś się przyrządziła na tym spacerze!... Przebieżże się prędko i uczesz, żeby cię mama tak nie zobaczyła... Spiesz się... Masz tam u siebie na stole kartkę od Konrada.

Józia chciała niepostrzeżenie przemknąć się do swego pokoju, ale nie zdążyła, bo we drzwiach stała pani Żarnicka.

Zmierzyła synową wzrokiem od stóp do głowy, przyjrzała się przekrzywionemu kapelusowi, rozrzuconym włosom i zaczerwienionej, rozgrzanej twarzyczce, wyglądającej z poza snopu różnobarwnego kwiecia.

Spostrzegła rozdarcie bluzki, nie uszło także jej uwagi lekkie obłocenie sukni i bucików. Wreszcie, z niewysłowioną pogardą — rzuciła jedno tylko, wcale niewytłumaczalne określenie:

— Flejtuchostwo!

Młoda kobieta zawstydzona spuściła głowę i wysunęła się w milczeniu. Pogoniły za nią dalsze słowa świekry:

— Możebyś zechciała przejrzeć się w lustrze i zobaczyć, jak wygląda pani Konradowa Żarnicka, powracająca do domu wieczorem z samotnego spaceru!

Kiedy Józia znalazła się w swoim pokoju, rzuciła kwiaty na łóżko, a pospiesznie pochwyciła kartkę, leżącą na stole.

Było już ciemno, więc podeszła do okna, żeby ją przeczytać przy ostatnich blaskach światła dziennego.

„Droga moja Józio! — pisał Konrad — proszę Cię o to bardzo, słuchaj mojej Matki we wszystkim. Chociażby Ci to nawet z trudnością przychodziło — wiem, że lubisz być czasem trochę przekorną i upartą — staraj się nie dawać jej powodu do niezadowolenia. Zależy mi na tem bardzo. I Ty to zrobisz dla mnie, Józio, prawda?“

Odłożyła kartkę.

Przygasły jej świeże rumieńce, przyniesione ze spaceru — dolna warga wygięła się jakimś dziwnym zniechęceniem.

Bez śladu poprzedniego, dziecinnie radosnegożywienia wzięła porzucone na łóżku kwiaty i wstawiła je do dzbanka z wodą.

Po tem powolnym, automatycznym ruchem zdjęła kapelusz, rozplotła włosy i zaczęła je czesać leniwie, nte spoglądając nawet w lustro.

Julian Łuniewski zadzwonił do drzwi mieszkania pani Żarnickiej. Przeczekał chwilę. Nikt nie otwierał. Przycisnął guzik dzwonka raz drugi, a potem i trzeci.

Cicho.

(Ciąg dalszy nastąpi.)